

12 str.  
obł.

Melania Sucha z d. Bińkiewicz i Maria Kaczmarek z d. Bińkiewicz  
Relację nagrała Janina Wołczuk  
wykorzystanie do tematu: Ziemia Lidzka ...

© ARCHIWUM WOSKOWIE

Melania Sucha z domu Bińkiewicz urodzona 21 października 1924 roku w Miecieczu /pow. Lida, woj. Nowogródek/. Mój ojciec był legionistą, walczył w armii Piłsudskiego i po zwolnieniu z wojska otrzymał ziemię na kresach - w osadzie Mieciecz - i tam pracował w swoim gospodarstwie rolnym aż do momentu wywózki w 1940 roku. Gospodarstwo miało powierzchnię 22 ha /23 ha?/ ziemi ornej; był też kawałek lasu i *Taki*. Ojciec ożenił się z kresowianką / z dziewczyną z Miecieczu/ i dlatego już nie wrócił w swoje strony rodzinne.

Przed wojną mieliśmy już swój domek /ojciec dostał gołe pole i nigdy przedtem nie był rolnikiem/. Ojciec zaczynał od podstaw. Najpierw był mały domeczek - pokój z kuchnią, obora już była większa i stodoła - te zabudowania były solidne. W gospodarstwie były już maszyny: młóckarnia, kierat, wialnia, pługi, brony. W gospodarstwie pomagał ojcu mojej ciotki mąż. Wujek ten nie był osadnikiem, był miejscowy, miał swoje pole w Miecieczu, ale to nie było duże gospodarstwo. Nie mieliśmy stałej służby. Jako dzieci też pracowałyśmy w gospodarstwie; przed pójściem do szkoły trzeba było napaść krowy. Przy kopaniu ziemniaków pracowała nawet najmłodsza siostra, pomagała /nie mówiąc już o nas starszych/.

W Miecieczu żaden z osadników chyba nie miał stałej najmniejszej siły roboczej, niektórzy najmowali ludzi do żniw. W osadzie Mieciecz było 21 czy 22 gospodarstw osadników. Byli: Grzywacz /7 dzieci/, Kaczmar<sup>czyk</sup> /5 dzieci i dwoje rodziców/, Rogoźnicki /3 dzieci/, Wołos /2 dzieci/, Broda /3 dzieci/, Witkowscy /3 dzieci/, Tobota /2 dzieci/, Kiszczuk /2-3 dzieci?/, Witkiewicz /3 dzieci/, Tubielewicz /3 dzieci, to byli bardzo chorowici ludzie/, Sikora /4 dzieci chyba/, Musiał /2 dzieci/, Gierczak /4 dzieci/. Osadnicy byli

\* Słowa Marii Kaczmarek w maszynopisie są sygnalizowane: /MK/

Melania Sucha i Maria Kaczmarek c.d.

wszyscy z Polski centralnej, a z żonami bywało różnie - niektórzy przywiezli sobie żony ze stron rodzinnych, a niektórzy żenili się na kresach. Ale nie było pomiędzy osadnikami żadnych tarć. Osada była bardzo solidarna, ludzie pomagali sobie wzajemnie. Najbliższą wsią od osady była wieś Nieciecz. Chłopi z Niecieczy bardzo osadników lubili i bardzo też pomagali. To była wieś biedna, chłopi byli małorolni, mieli małe zagonki. Kiedy chodziłam do szkoły, to zawsze podzielałam się z koleżankami ze wsi tym, co miałam z domu - i tak robiły wszystkie dzieci osadników.

Ludzie we wsi mówili i po polsku i po białorusku.

/MK/ To nie była typowo białoruska mowa, ludzie określali to jako "mowę prostą, mówili - po prostu".

Kościółek był w Niecieczy, do kościoła chodzili wszyscy razem. W Niecieczy był też sklep i poczta. Nie było chyba ludności prawosławnej ani Żydów. Żydzi byli w Bielicy - w miasteczku 9 km od nas. Do Bielicy jeździło się po zakupy, np. po buty.

Do szkoły chodziłam w Niecieczy. Pamiętam wspaniałego, dobrego nauczyciela języka polskiego - Ankudowicza, kierownika szkoły - Rabe, który uczył razem z żoną. Nauczyciele byli przypuszczalnie z Polski centralnej. Z ludnością miejscową żyli dobrze. Ja bywałam w domu kierownika szkoły, jego córka była moją koleżanką.

Nieciecz nie była wsią zabita. Ludzie umieli czytać. Były jakieś kursy dla kobiet, czy pogadanki na temat żywienia, chowu drobiu. Mama chodziła na te pogadanki. Instruktorzy przyjeżdżali chyba z Bielicy. Był kurs kroju i szycia, bo mama uszyła sama sukienkę. Do krawcowej jeździło się do Bielicy /choć w Niecieczy też może była krawcowa/ przy okazji wyjazdu na targ.

/MK/ - W Niecieczy był szewc, bo przecież u niego reperowaliśmy buciki.

U większości ludzi w domach nie było podłóg /we wsi/, tylko klepiska posypywane żółtym piaskiem. Ale jak na ówczesne warunki

Melania Sucha i Maria Kaczmarek c.d.

to we wsi było czysto. Podwórka były ogrodzone drewnianymi płotami, w ogródkach rosły malwy przed domem.

W ostatnich latach przed wojną w naszym ogrodzie pojawiły się już pomidory i truskaweczki /ogórki były już wcześniej/, były podstawowe warzywa: marchew, buraki. Osadnicy stali trochę wyżej od ludności wiejskiej pod względem kultury rolnej. Ludzie ze wsi podpatrywali te dobre wzorce od osadników.

/MK/ W szkole też się czuło, że dziecko osadnika było wzorem dla innych dzieci.

Tuż przed wojną poszłam do szkoły do Lidy - do gimnazjum im. Osadników Wojskowych. To było nowe gimnazjum. Z nauczycieli pamiętam niewiele. Siedziałam w ławce z Żydoweczką, ona była bardzo dobra dla mnie. Nauka w gimnazjum była dla osadników niedroga. Z Niecieczy chodziła ze mną też Stanisława Kaczmarczyk. Opłata za naukę dla dzieci osadników wynosiła chyba 10 zł miesięcznie. Wcześniej zdawałam egzamin do gimnazjum im. Czartoryskiego w Wilnie, ale oblałam biologię. Jesienią otworzono to gimnazjum w Lidzie i dostałam się do niego.

W Niecieczy była już kooperatywa, do której należeli przede wszystkim osadnicy wojskowi. Na zebraniach kooperatywy wiele mówiono o podniesieniu wsi na wyższy poziom. Wiem to z opowiadań ojca. Sama nie miałam kontaktów z okolicznymi wsiami. Ojciec mój prenumerował gazetę "Mały Dziennik", bo codziennie biegałam po nią na pocztę. Ojciec dużo czytał o rolnictwie. To była chyba gazeta sprzyjająca Witosowi, bo ojciec dużo mówił o Witosie, nawet chciał się upodobnić do niego, bo nie nosił krawata. Mówił, że prawdziwy Polak powinien chodzić jak Witos - bez krawata. Inni osadnicy też chyba wzorowali się na Witosie. Inni osadnicy też kupowali gazety. we wsi była biblioteka w szkole dla dzieci szkolnych. Nie wiem, czy dorośli korzystali z tej biblioteki.

Szkoła w Niecieczy była 7-klasowa, ale dużo dzieci ze wsi

Melania Sucha i Maria Kaczmarek c.d.

nie kończyło szkoły, a niektóre dzieci wiejskie były bardzo zdolne. Ze mną uczył się taki zdolny chłopak - Piszczyk, ale nie skończył tej podstawówki. Nauczyciele chcieli mu nawet pomóc dostać się do średniej szkoły, żeby mógł się uczyć za darmo. Ale on nie skończył tych 7 klas. Do średniej szkoły chodziam ja i Kaczmarczykówna /do Lidy/, chodził Kazimierz Rogoziński, Janina Mitkiewiczówna, Ada Musiał i Bartek Musiał. Bartek poszedł do szkoły wojskowej - do kadetów. Do średniej szkoły chodziła też Jadwiga Gierczak.

Od 1 września 1939 roku chodziłam normalnie do szkoły w Lidzie. Nauczyciele byli ci sami, nie zauważałam jakichś zmian w szkole. Było chyba kilka dni przerwy w szkole, wtedy przyjeżdżałam do domu. Atmosfera była ciężka, mówiono, że Rosjanie nas wynarodowiają. W szkole nie było tylko krzyża. Zaprzestano też modlitwy w szkole. Młodzież była bardzo oburzona, że w klasie nie było już krzyża.

Z Niecieczy wszyscy osadnicy byli wywiezieni w 1940 roku. Transport nasz wyruszył z Lidy. Po przywiezieniu nas do Lidy nie trafiliśmy od razu do pociągu, czekaliśmy na skompletowanie kolejnego transportu w jakimś pomieszczeniu, do którego co rusz dowozili nowych ludzi. Przed wywózką ktoś naszego ojca w Niecieczy powiadomił, że wywożą, bo przez Nieciecz jechały sanie do Lidy, pod eskortą wojskową. Wtedy ojciec kazał namie szybko pojechać do Bielicy kupić dzieciom buty, bo młodsze rodzeństwo nie miało butów.

/MK/ Pojechałam wtedy razem z mamusią do Bielicy. Po drodze do Bielicy zatrzymali nas żołnierze, zapytali o nazwisko i o cel naszego wyjazdu. Mama odpowiedziała, że jedzie do Bielicy po buciuki dla dzieci. Mama się domyśliła, że ci żołnierze jada chyba po nas, bo jeden z żołnierzy dostał rozkaz jechać razem z nami do Bielicy. Chodziłyśmy po sklepach w asyście tego żołnierza. Mama była bardzo przerażona. Wracałyśmy do domu z tym żołnierzem; kiedy jechałyśmy przez Nieciecz, to ktoś przy studni krzyknął, że po

Melania Sucha i Maria Kaczmarek c.d.

nas już pojechali. Kiedy przyjechaliśmy do domu, to tatuś już siedział pod oknem przy stole, z rękami za karkiem. W domu wszystko już było przewrócone, robiono rewizję - szukali broni.

Kazano nam się natychmiast ubierać. Ojcu nie pozwolono nawet zajrzeć do obory /ojciec chciał może się pożegnać z dobytkiem/. Nie mogliśmy ze sobą nic zabrać. Kazali tylko ojcu zabrać piłę i siekierę, nie mówili, dokąd nas powiozą. W Lidzie siedzieliśmy w jakimś budynku przez kilka dni. Do ubikacji chodziło się ze strażnikiem. Kiedy wyszłam tak ze strażnikiem, to strażnik powiedział do mnie: "Dziewczonka, udiraj!". Powiedziałam, że nie wiem, dokąd. Na to on, żebyśmy uciekała do budynku kina, a on po służbę mnie stamtąd pomoże się wydostać. Ale ja się sama nie mogłam zdecydować. Powiedziałam o tym ojcu, a ojciec na to, że jeżeli będziemy ginęli, to wszyscy razem.

W transporcie jechaliśmy z niektórymi osadnikami z Niecieży m.in. pamiętam Bartka Musiała /tego ze szkoły kadetów/. W Lidzie naszego ojca co noc brali na przesłuchanie. Ojciec nie mówił, o co go pytają, ale wracał bardzo zmęczony.

Podróż była długa i ciężka: w wagonach bydłych, na przyczepach z żerdzi, w okropnym mrozie. W naszym wagonie jedna kobieta urodziła dziecko; to dziecko zmarło i potem zostało wyrzucone przez okno w śnieg. To było okropne.

Po rozładowaniu nas na jakiejś stacji kolejowej załadowano nas na barkę i wieziono rzeką Czarną /to jest dopływ<sup>W</sup> rzeki Kamy/. Rzeką wieziono nas ponad dwa tygodnie. Rzeką była już spławna, bo przecież siedzieliśmy parę tygodni w Lidzie, potem najpierw zawieziono nas do Gorkowskiej obłasti i dopiero później do tego kolejnego miejsca. Kiedy po raz pierwszy na jakiejś stacji zetknęłam się z miejscowymi Rosjanami, którzy wyszli popatrzeć na transport, to ludzie ci mówili, że mieli przywieźć polskich panów - a to tacy sami ludzie jak i oni /to też byli deportowani, tylko

Melania Sucha i Maria Kaczmarek c.d.

że dużo wcześniej niż my/.

W mołotowskiej okolicy, dokąd nas przywieziono, nie było rdzennej ludności. Ludzie tam mieszkający mówili, że oni też są przesiedleni. Ale oni już byli jakos zagospodarowani, mieli kartofle i cebulę - to było główne pożywienie. Ludzie dzielili się z nami tym czym mogli. My zamieszkaliśmy w barakach - często bez pieców, bez okien. Nasz ojciec gdzieś zorganizował metalowy piecyk, rura tego piecyka wychodziła przez okno.

/MK/ Od razu wszyscy poszli do pracy do lasu. Innej pracy tam nie było.

Jedzenie było na kartki. Dziecko nie pracujące dostawało 20 dekagramów chleba - to był jedyny produkt. Potem tylko jeden raz dostaliśmy na 1 Maja po kilogramie cukru na rodzinę. Mieliśmy kontakt z naszą ciocią w Niecieczy /Antoniną Mikuć/, ona nam bardzo dużo pomogła - przysłała chyba z 9 paczek /makę, kaszę, cukier i schowany w mące obrazek Matki Boskiej Ostrobramskiej/. Przesyłała też listy. Listów tych nie mamy, ciocia też nie ma naszych listów. Wyjeżdżając spod Łidy ciocia wszystko poniszczyła, bojąc się kłopotów na granicy.

W lecie żywiliśmy się jagodami i grzybami. O tłuszczu tam nie było mowy. Chodziliśmy też po żebrach. Ludzie miejscowi zawsze coś dali - to kartofelek, to cebulkę. Nie mieliśmy obuwia, chodziliśmy boso. Kiedyś właśnie gospodarz Rosjanin kazał mi przenocować /kiedy chodziłam po żebrach/ i przez noc zrobił mi łapcie /mie i mojej nieżyjącej siostrze/. Polacy też żyli ze sobą zgodnie. Ludzie bardzo się modlili. Przychodzili do nas, bo my mieliśmy obrazek Matki Boskiej. Ludzie bardziej wykształceni pisali nawet wiersze i pieśni. Nasz barak stale był pod obserwacją, ktoś puścił plotkę, że w naszym baraku jest radio. A ja nawet nie wiedziałam, co to takiego "radio". /Przed wojną tylko jeden osadnik w Niecieczy miał radio - na słuchawki/. Ojca parę razy wzywano na przesłuchanie, pyta-

Melania Sucha i Maria Kaczmarek c.d.

no go, kto do nas przychodzi, o czym ludzie rozmawiają.

/MK/ Część naszego transportu osiedliła się potem koło Wrocławia. W lasach na Syberii zmarła i została córka pani Kujawskiej. Zmarłych grzebano tam, gdzie znaleziono kawałek wolnego miejsca od drzew. Specjalnego cmentarza nie było. Nie pamiętam, czy były trumny, ale <sup>krzyże</sup> pomiędzy drzewami pamiętam do dziś.

Baraki nasze nie były ogrodzone, ale możliwości ucieczki prawie nie było. Ja miałam taki zamiar - uciec. Ale tatuś mówił mi, że zginiemy wszyscy razem. Dookoła był tylko las. Od lasu można było dostać obłądu.

/MK/ Jedyną drogą była rzeka, ale do rzeki było też daleko.

Nie słyszałam, żeby ktoś podejmował próbę ucieczki. Ludzie mieli jednak ogromną nadzieję, że wrócimy do Polski. Ja marzyłam tylko o tym, żeby wrócić i najść się chleba do syta - niczego więcej nie chciałam. Nie wiedzieliśmy prawie nic o świecie. Nikt u nas nie słyszał o porozumieniu z Sikorskim, o armii Andersa. Dopiero kiedy część młodzieży i rodziców poszła do wojska w 1943 roku, postanowiono pozostałym poprawić warunki i wywieziono nas do Saratowskiej obłasti.

/MK/ Na tym nowym miejscu już nas tak nie pilnowano. W naszych dwóch punktach było około 180 rodzin. Wiem o tym, ponieważ byłam młodzieżowym organizatorem z ZPP. Do Saratowa przewieziono nas wiosną 1944 roku.

11 strona

Przez cały czas pobytu na zesłaniu nie było żadnej zorganizowanej nauki dla dzieci, dzieci w wieku szkolnym miały zmarnowane 5-6 lat.

/MK/ Kiedy byliśmy w Saratowskiej obłasti, to było zorganizowane coś niby ochronka dla małych dzieci, po to, żeby matki mogły pracować. Moja koleżanka była opiekunką w takim ognisku. W Saratowie też była ciężka praca, życie było ciężkie, tylko że człowiek był trochę wolniejszy i widział trochę nieba - bo tu był step. Kie-

Melania Sucha i Maria Kaczmarek c.d.

dy zrywał się wiatr, to czuło się nieustanną gorycz w ustach, bo step był porośnięty cały burzanami. A wiosną były na stepie <sup>n</sup>barwy kolorowych pięknych tulipanów. Duże połacie ziemi były w ogóle nie uprawiane. Step i wilki. Stada wilków były okropne, to było duże niebezpieczeństwo dla ludzi. Sama przeżyłam kilka razy napaść wilków. Wiozłam do sklepu mąkę, chleb i inne rzeczy - kufajki. Jechałam woźkami /tam innej siły pociągowej nie było - albo wielbłądy, albo woły/. Dowoziłam towary z odległości 8 km. Pewnego razu zobaczyłam świecące ślepią wilków. Zaczęłam poganiać woły. Jeden padł. Zaczęłam go poganiać, żeby wstał. Ale w posiołku ludzie wyczuli, że ze mną jest coś nie w porządku - wyjechali na koniach: i Kirgizi i nasi. Wiozłam wtedy do sklepu też zapalki - wszystkie te zapalki wypaliłam odstraszać wilki. Uratowałam się wtedy, ale miałam kilka razy przeżycia z wilkami. Dowoziłam<sup>I</sup> towar do naszego posiołku, bo u nas nie było ani piekarni, ani nic - tylko taki sklepik. W posiołku mieszkali tylko Kirgizi /tylko przewodniczący tego sowchozu nie był Kirgizem/.

/Melania Sucha/ Z wojska pisałam listy do domu. Moje listy nie tak dawno zostały spalone. Listy były bardzo pokreślone /przez cenzurę wojskową/.

/MK/ Ja też pisałam listy do ojca i do siostry, mama najczęściej listy dyktowała. Ojciec zawsze mi pisał, dlaczego ja tak małą w tych listach. Nie wiedziałyśmy z mamą, o co chodzi - pisałam cysciutko, a tatuś narzekał, że połowa listu jest zamazana, pokreślona. Ja opisywałam szczerze, wszystko, jak było.

A ja pamiętam, że w swoich listach pisałam, że będę się męczyć za moją rodzinę. A w listach zostawało tylko pozdrowienie dla matki i siostr i informacja, że jestem żywa i zdrowa.

/MK/ Kiedy byliśmy już w Saratowie i miała się szykować repara-  
triacja, to przyjechali do posiołka jacyś Rosjanie, żeby sporządzić spis Polaków. Należało przedłożyć jakiś dokument o tym, że



Melania Sucha i Maria Kaczmarek c.d.

jestemy Płakami. My nie mieliśmy nic, bo przy wywózce nie pozwolono nam nic wziąć. Kiedy przyszła do baraku, to nasza rodzina bardzo płakała - baliśmy się, że nie będziemy mogli wyjechać. Ja powiedziałam, że chyba skoczę do studni z rozpacz. Ale w jednej rodzinie mieli czystą książeczkę konia. Wypełniliśmy tę książeczkę na nasze nazwisko i przybiliśmy pieczętkę z przedwojennej dwuzłotówki. Pomogła mi Marysia Szatkowska. Weszła razem ze mną, bo ja drżałam ze strachu, żeby nie odkryli fałszerstwa i <sup>nie</sup> zesłali mnie jeszcze dalej /bo tam innej kary nie było - za wszystko była zsyłka/. Wszłam do tego biura i przedstawiłam tę książeczkę. Na podstawie tej książeczki zapisali nas do transportu. Wtedy z tych posiadłości wyjechali wszyscy Polacy /wcześniej jeszcze uciekł brat Marysi Szatkowskiej <sup>Władek</sup> i jeszcze jeden kolega - Zbyszek - oni dostali się do Polski wcześniej, udało im się. Opowiadał mi o tym Kazimierz Cuprys - z naszego transportu/.

Z Niecieczy dużo ludzi wyjechało na Ziemię Zachodnie. Została tam moja kuzynka /córka mojej ciotki/. Moje ciotki przyjechały w latach 50-ch. Zaraz po wojnie nie mogły wyjechać, bo jedna była na Syberii /za przynależność do AK/, a mąż drugiej ciotki - Mikuciowej - też był w więzieniu na Syberii za przynależność do AI

/MK/ wujek Mikuc po zwolnieniu go z Syberii nie wrócił już do Niecieczy, tylko od razu przyjechał do Polski. A ciocia zrobiła błąd, że z tej kanczatki nie pojechała prosto do Polski, tylko chciała jeszcze zajrzeć do Niecieczy, odwiedzić groby rodziców, bo ją ponownie aresztowano i dano nowy wyrok. I znów musiała spędzić w zsyłce wiele lat.

Babcia moja zmarła skatowana przez Rosjan. Kiedy aresztowali jej zięcia i córkę, to ona biegła za nimi i krzyczała, żeby ich uwolnili, bo oni są niewinni. Rosjanie zbili ją kolbami i od tego czasu babcia już nie wróciła do zdrowia.

Melania Sucha i Maria Kaczmarek c.d.

Ciocia Antonina Kuciowa przyjechała potem na Ziemię Zachodnią w latach 50-ych z trójką dzieci, a najstarsza jej córka została na kresach, przeniosła się do Lidy.

Nigdy nie jeździłam do Niecieczy od czasów wojny. Nasza mama pojechała tam i bardzo się rozchorowała w rezultacie tego wyjazdu: wszystko tam było zrujnowane. Mama poznała tylko część lasu. Od ludzi dowiedziała się, że nasz dobytek został rozgrabiony. Mama znalazła miejsce, w którym była kiedyś studnia. Koło studni ojciec nasz zakopał złotą monetkę, którą dostaliśmy w prezencie od cioci z Wilna. Ale mama, niestety, nie znalazła tej monetki.

Na zesłaniu miałam kurzą ślepotę - nie widziałam nic o zarożku. To było z niedożywienia. Z lasu czasami nie wracaliśmy do baraków przez kilka dni, bo trzeba byłoby iść kilka kilometrów, a na to brakowało sił. Ale moja mama i siostra były ciężko chore i ja postanowiłam kiedyś sama z tego lasu pójść do baraków. Słońce już zachodziło, doszłam do połowy drogi - i przestałam widzieć. Zorientowałam kierunek i poszłam w przeciwnym. Czulałam w pewnym momencie, że ginę. Ale mojego tatusia coś tknęło. Wstał od ogniska i poszedł moim śladem. Zobaczył mnie w chwili, kiedy już zmyliłam drogę. Ojciec wtedy uratował mi życie, bo gdyby nie poszedł za mną, to ja bym zmarzła.

Paczki, które dostawaliśmy z Niecieczy, pozwoliły nam przetrwać najgorszy głód w lesie. Ale niektóre rodziny nie miały krewnych na kresach. Były jednak przypadki, że nawet obcy ludzie przysyłali komuś paczki. Nam przysyłała ciocia co mogła. Mieliśmy jeszcze w Niecieczy babcię, jeszcze wujek nie był wresztowany i ciocia z Wilna też jeszcze nie była aresztowana. Mieliśmy więc pomoc. Wiele osób truło się grzybami w poszukiwaniu pożywienia. Jedzono różne trawki, próbowano dodawać korę drzew do chleba, do zupy.

/MK/ W Saratowskiej okolicy to zbieraliśmy kłosa na polu. To było surowo zabronione. Mnie kiedyś strażnik gonił za to na koniu

Melania Sucha i Maria Kaczmarek c.d.

Mamusia strasznie krzyczała, bała się, że ten koń mnie strąca. Ale wszystko się skończyło jakoś szczęśliwie.

A ja, zanim jeszcze poszłam do wojska, miałam inne zdarzenie. Było tam niewielkie pole, na którym pasły się wychudzone kołchozowe krowy. Ja te krowy o bladym świecie chodziłam doić. Rosjanie mówili, że te krowy chyba z mora wysysa - a to byłam ja. I nie tylko ja byłam taką zmorą. Chorowałam w Rosji, miałam otwartą gruźlicę. Pewnego razu dostałam silnego krwotoku w pracy. Przywieziono mnie do szpitala w Kudynkarze, zrobiono prześwietlenie i powiedziano, że to "tubierkuloz" czyli gruźlica. Nie dostałam żadnych lekarstw, jakimiś szmatkami zatamowałam krwotok - i nawet nie dostałam zwolnienia od pracy. Po zatamowaniu krwotoku trzeba było iść do pracy. Chorowała nasza mama i siostra, ale opieki lekarskiej żadnej nie było.

/MK/ Nie wiem nawet, gdzie w tej Saratowskiej obłasti mogłaby być pomoc medyczna - może w rejonie. Ale do rejonu było 25 kilometrów. Kiedy już zostałam wybrana do władz ZPP i miałam wezwanie czasami do rejonu, to przewodniczący dawał mi przepustkę z pracy i szłam 25 kilometrów pieszo. Czasami tylko brałam sobie do towarzystwa koleżankę.

/MK/ ZPP kiedyś przysłał nam jakies rzeczy - ja dostałam wtedy zielone spodnie. Kiedy jechaliśmy do Polski, to wtedy dostaliśmy jakies kupony materiału, żeby poszyć coś z ubrania. Mamusia uszyła mi wtedy ręcznie spódnicę. Na drogę dano nam też trochę żywności. Kiedy jeszcze byliśmy w lesie, to nasze najmłodsze siostry dostały z wycieńczenia spięzki, w ogóle się już nie budziły. Mama kazała mi przy nich siedzieć i bez przerwy je budzić, kazała podnosić im powieki. Nie chcę nawet pamięcią wracać do tych czasów. Jedna z sióstr po powrocie miała już zniszczony wzrok, miała tylko 25% widoczności. Mówiono, że to skutek przewlekłego nieleczonego zapalenia. Siostra nigdy już nie odzyskała wzroku.

42